



FAKE SKATING





LYNN PAINTER

FAKE SKATING

PRZEŁOŻYŁA MONIKA WIŚNIEWSKA



Bliss

TYTUŁ ORYGINAŁU:

Fake Skating

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Olga Gorczyca-Popławska

Redakcja: Magdalena Wołoszyn-Cępa

Korekta: Kinga Dąbrowicz

Ilustracje na okładce: © 2025 by Liz Casal

Projekt okładki: Sarah Creech

Opracowanie graficzne okładki: Adelina Sandecka

Wyklejka i brzegi: © Kiselov, © Tatiana, © Forida / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Fake Skating by Lynn Painter

Polish Language Translation copyright © 2026 by Wydawnictwo Kobiectwo

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Original English language edition copyright © 2025 by Lynn Painter

Published by arrangement with Simon & Schuster Books for Young Readers,
an imprint of Simon & Schuster Children's Publishing Division.

Copyright © 2026 for the Polish edition by Bliss an imprint of Wydawnictwo
Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Monika Wiśniewska, 2026

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie
i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź
fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody
posiadacza tych praw jest zabronione.

OSTRZEŻENIE

W książce znajdują się sceny dotyczące ataków paniki,
został też poruszony temat rozwodu.

Wydanie I

Białystok 2026

ISBN 978-83-8417-477-7

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Bliss



PROLOG



To się nie mogło dzieć naprawdę.

Dani Collins przeprowadzała się do Southview.

– Niemożliwe – mruknąłem, wciskając pedał gazu.

Godzinę temu życie było normalne. Po treningu udałem się do domu, wciągnąłem dwie miski gulaszu, podczas gdy tata opowiadał o nowej amfibii swojego kolegi, a kiedy miałem właśnie odejść od stołu, mama przekazała mi wieści.

Z podekscytowaniem poinformowała, że rodzice Dani się rozwodzą i teraz ona i jej mama wprowadzają się do jej dziadka. I że niesamowicie będzie mieć je w końcu tak blisko.

„Tylko sobie wyobraź, jak często będziemy się mogli z nimi spotykać!”

Uśmiechałem się i przytakiwałem jak grzeczny chłopiec, usiłując nie porzygać się z nerwów na myśl o tym, że będę ją musiał widywać każdego dnia.

Dani Collins.

Przeprowadzała się.

Do. Cholernego. Southview.

Pod byle pretekstem opuściłem dom tak szybko, jak się dało – potrzebowałem powietrza i muzyki, aby się oswoić z tym nieoczekiwanym biegiem wydarzeń. Moja kuzynka kompulsywnie tworzyła playlisty na każdą chwilę swojego życia i ten lekko obsesyjny nawyk udzielił się także mnie, do tego stopnia, że nie potrafiłem już sobie radzić z rzeczywistością, dopóki nie przepuściłem jej przez muzykę.

Wsiadłem więc do Burrito (mojego zdezelowanego Olds Alero z dwa tysiące trzeciego) i ruszyłem przed siebie, puszczając na maksa *Escorpião*, brazylijski kawałek, którego słów nie rozumiałem, ale uwielbiałem go jak nie wiem co. Wiedziałem, że jeden wers brzmi w tłumaczeniu „kocham cię” to bzdura”, więc całkiem pasowało.

Nagle – zupełnie jakby Burrito działał na własną rękę – zorientowałem się, że skręcam w ledwie widoczną gruntową drogę wijącą się przez las obok stawu. Jechałem po zasypanej śniegiem i ubitej ścieżce, aż moim oczom ukazała się stara, opuszczona szopa, będąca niegdyś „naszym miejscem”.

Wieczór był spokojny, a gruba warstwa białego puchu odcinała świat od dźwięków, tak że kiedy wysiadłem z samochodu i ruszyłem w stronę szopy, słyszałem jedynie chrzęst śniegu pod butami. Zawsze wyglądała tak, jakby lada chwila miała się zawalić, i nie uległo to zmianie od czasu, kiedy byłem tu po raz ostatni.

Latem po ukończeniu siódmej klasy.

Pchnąłem drzwi i wszedłem do środka, częściowo się spodziewając, że rzuci się na mnie stado szopów pracy. Panowała

tu absolutna ciemność, kiedy jednak włączyłem latarkę w telefonie, poczułem się, jakbym dostał krążkiem hokejowym w klatkę piersiową. Jak to możliwe, że wszystko nadal wyglądało tak samo?

Wciąż stały tam krzesła, które zwinąłem z warsztatu ojca, żeby umeblować naszą absurdalną szopę. No i obecna była ogromna dziura w dachu, którą nazywaliśmy świetlikiem.

Ja pierdołę.

Przełknąłem ślinę i spojrzałem do góry, na księżyc. Wszystko w „naszym miejscu” pozostało takie samo. I kogo ja oszukiwałem? Tak samo było ze wspomnieniami o niej. O Dani.

I naszym ostatnim spotkaniu.

Mniej więcej pięć lat temu

– Nie chcę jechać do domu.

Patrzyłem na profil wpatrującej się w księżyc Dani i nie mogłem uwierzyć w to, że już wyjeżdża. Siedzieliśmy obok siebie na kocu w szopie nad stawem, a moje słowa: „To jest do bani”, stanowiły niedomówienie wieku.

Dani i jej mama przyjeżdżały każdego lata na cały miesiąc. Nasze matki (najlepsze przyjaciółki) spędzały ze sobą wówczas praktycznie całe dnie, a my mogliśmy robić wszystko, na co tylko mieliśmy ochotę. Jeździliśmy na rowerach, chodziliśmy na ryby, wybieraliśmy się na długie spacery, podczas których rozmawialiśmy dosłownie o wszystkim, spędzaliśmy czas na basenie... To była letnia perfekcja.

Nie pamiętam już nawet, kiedy się zaczął ten doroczny rytuał.

Powodem ich wizyt były odwiedziny u dziadków Dani, ale jako że większość czasu spędzała ze mną w naszym domu (albo w szopie), zawsze uważałem, że to „nasze” wakacje.

I była to bez wątpienia najlepsza część lata.

Ponieważ przez jeden miesiąc w roku była moją najlepszą przyjaciółką.

Przez trzydzieści dni wyglądaliśmy się i śmialiśmy do rozpuku, potem zaś wracała do tej bazy lotniczej, w której akurat stacjonował jej ojciec – aż do następnego sezonu świetlików.

Teraz jednak wyjeżdżały po zaledwie dwóch dniach. Tym razem przyjechały na pogrzeb jej babci i tym razem towarzyszył im jej wredny ojciec – pułkownik, a jakże.

Co okazało się dużym błędem, ponieważ jego obecność doprowadziła do totalnej katastrofy.

Było epicko w najgorszy możliwy sposób.

Po pogrzebie Mick – dziadek Dani – odpalił się na jej ojca, twierdząc, że babcia umarła przez pana Collinsa. Że pękło jej serce, bo zabrał mamę Dani i woził ją ze sobą od bazy do bazy.

A potem Mick oświadczył im – przy wszystkich – aby wrócili „tam, gdzie, do kurwy nędzy, stacjonujecie w tej chwili” i zeszedł mu z oczu.

Mhm, koszmar.

No i rano wyjeżdżali.

Co oznaczało, że nie pójdziemy o świcie do piekarni Kriz’s, gdzie siadaliśmy przy lepiącym się stoliku przed wejściem i na podstawie ubioru klientów próbowaliśmy zgadnąć, jakie kupią donuty.

To była jedna z naszych (wielu) tradycji.

– Wiem, że to robi ze mnie okropną osobę – powiedziała, patrząc na mnie zbyt smutnymi brązowymi oczami – ale chyba bardziej dołuje mnie fakt, że stracę ten miesiąc tutaj, niż cała ta rodzinna afera.

I wtedy to zobaczyłem.

W oczach miała łzy.

Widok kogokolwiek ze łzami w oczach sprawiał, że czułem się nieswojo – z powagą było mi nie po drodze. Ale zobaczyć najbardziej sarkastyczną osobę, jaką znałem, smutną?

To mnie, szczerze mówiąc, rozwaliło.

– Collins. – Szturchnąłem ją w ramię. – Jeśli się rozplaczesz, przysięgam, że wykopię cię z tej szopy i wrzucę do stawu.

Parsknęła śmiechem, a gdy się odezwała, głos miała zachrypnięty.

– Taki z ciebie niby twardziel, pozujący na groźnego, choć oboje wiemy, że wcale byś tego nie zrobił.

– Ale z ciebie wredota.

– A z ciebie karakan – odcięła się równie żartobliwie.

Bezbolesny żart, ponieważ nie byłem niski; po prostu ona była wyższa od wszystkich.

– Tak w ogóle to wcale nie jesteś okropna. – Zauważyłem, że oczy nadal jej błyszczą od łez, i zapragnąłem skopać tyłek jej dziadkowi za to, że taki z niego buc. – Wolno ci się smucić, że stąd wyjeżdżasz.

Przełknęła ślinę i przygryzła dolną wargę, jakby próbowała wziąć się w garść.

– Mnie też jest smutno – przyznałem łamiącym się głosem, bo to rzeczywiście była prawda.

Jak miało wyglądać lato bez biegania po mieście razem z Dani?

– Mówisz serio? – zapytała niemal szeptem. Jej spojrzenie przesunęło się po mojej twarzy. – Naprawdę?

Kiwnąłem głową i poczułem kłujący ból w klatce piersiowej, kiedy zauważyłem, jak jednej łzie udaje się uciec. Ponieważ Dani Collins nie mogła płakać.

Nie mogła.

Nagle cały wszechświat się zachwiał i jedyne, czego pragnąłem, to żeby przestała. Natychmiast.

Wszystko traciło sens, gdy była nieszczęśliwa.

Bo Dani była iskrzącymi się oczami i zaraźliwym śmiechem. Dani była szczęściem.

Nim zdążyłem się zorientować, co robię, moje kciuki znalazły się na jej policzkach i jeden z nich otarł łzę. Miałem problem z przełknięciem śliny, kiedy Dani patrzyła na mnie tak, jakby próbowała ogarnąć, co się dzieje.

– Ja też nie wiem – przyznałem, gdyż od zawsze potrafiliśmy czytać sobie w myślach, a ja nie rozumiałem, dlaczego nagle mam ochotę ją pocałować. – Nie mam pojęcia, co to takiego.

– Ani ja.

Jej spojrzenie opadło na moje usta i w tej chwili serce zaczęło mi walić jak młotem.

– Powinniśmy? – wyszeptalem, gdy zorientowałem się, że moje kciuki nadal suną po jej miękkiej skórze.

Czy ja na serio właśnie zapytałem (bez wypowiedzania tych słów), czy powinniśmy się pocałować?

Co się, u licha, dzieje?

– Kiedyś w końcu musimy zrobić to po raz pierwszy – odparła, a w jej oczach pojawiła się determinacja świadcząca o tym, że coś sobie postanowiła.

Nikt nie lubił knuć tak bardzo jak Dani. Była chętna w zasadzie na wszystko. Zawsze się zastanawiałem, czy to tylko jej „wakacyjna” wersja, czy też w domu zachowuje się tak samo.

– Więc może... powinniśmy?

W jej głosie słychać było pytanie, a ja nie miałem pojęcia, jakim cudem znaleźliśmy się w takiej sytuacji.

Jasna cholera.

– Mówisz poważnie? – wykrztusiłem. *Czy nadal powinienem dotykać jej twarzy?*

Dlaczego wydawało się to takim świetnym pomysłem, skoro była to Dani?

– Chyba tak – odpowiedziała.

W jej oczach tańczyły iskierki, które odsuwały smutek na bok.

Mogłem się jeszcze wycofać, ze względu na naszą przyjaźń udawać, że w ogóle o tym nie myśleliśmy, wtedy jednak spojrzała na mnie i było już po ptakach.

Patrzyła na mnie tak, jakby pragnęła, żebym ją pocałował. Jakby czekała, aż się do niej przysunę.

A ja – Boże, miej mnie w swojej opiece – od zbyt dawna marzyłem o tym pocałunku, żebym teraz miał okazać się silny.

– No to podejdź bliżej, Collins.

Wciągnąłem powietrze nosem, a mój umysł odtworzył kryształicznie czyste wspomnienia tego, jak leżeliśmy na tamtym kocu i jak traciłem przy niej rozum. Zapach szopy – połączenie ziemi, cedru i nostalgii – wcale nie pomagał. Te wonie były tak cholernie znajome, że aż chciało się przejść wzdłuż

ścian do rogu, gdzie markerami akrylowymi wypisywaliśmy jakieś bezsensowne głupoty – po to tylko, by sprawdzić, czy nasze dawno zapomniane bazgroły nadal tam są.

Ale w chwili, kiedy ta myśl pojawiła się w mojej głowie, przypomniałem sobie także resztę.

I wtedy w ogóle już nie chciałem tego pamiętać.

Bo choć minęło kilka lat, nadal byłem wkurzony. Na logikę powinien to już być zamknięty rozdział. Powinienem był to przeboleć.

Tyle że kiedy jechałem do domu, dotarło do mnie, że wcale się tak nie stało.

Ani trochę.

Może i mieliśmy więcej lat, i może to było nielogiczne, ale nadal nienawidziłem Dani Collins za to, co zrobiła po tamtym wieczorze, kiedy się pocałowaliśmy.

„Te quero bem” é o caralho
Eu vou acabar contigo





Albo w bardziej zrozumiałym języku:

„Kocham cię” to wielka bzdura
Wykończę cię

SIĘGNIJ PO WIĘCEJ



**Papierowe
Serca**

-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  wydawnictwopapieroweserca
-  papieroweserca
-  papierowe_serca